

ROK 1841

Heinrich Graetz obraża się na Ostrów

WYMYKALI SIĘ CHYŁKIEM poza żydowski kwartał. Przecho-
dząc do końca ulicy Raszkowskiej, dotarli do wąskiej
rzeczki zwanej Krempianką, która tutaj skręcała na północ. Po lewej
stronie strugi prowadziła piaszczysta droga w stronę Raszkowa, na
prawo ścieżka do lasu, którą wybrali się na swoją tajemną, chociaż
bardzo niewinną schadzkę. Ona ufnie podała mu swoją drobną dłoń,
którą on delikatnie ścisnął, a później spleli ręce i tak trzymając
się, szli w stronę lasu. Była nadspodziewanie ciepła marcowa noc.
Po niebie wolno przesuwały się niewielkie chmury, nieznacznie za-
słaniające rozgwieżdżone niebo. Księżyc ogromnym sierpem dotykał
wierzchołków drzew pobliskiej wioski Zacharzewo. Oni jednak szli
w stronę pustkowi wdzięcznie nazywającego się Wenecya. Heinrich
zastanawiał się, skąd tutaj, w okolicy tak skromnej miejsciny, pojawiła
się taka nazwa? *Chyba tylko z pyszałkowatości jego mieszkańców* – po-
myślał nie bez złośliwości.

Pozostawili za sobą ogrody, które wychodziły wąskimi pasmami
za domostwa przylegające do ulicy Raszkowskiej. Gdzieś z oddali do-
chodziło szczekanie psa, zaś od strony łąk nad Ołobokiem słychać
było kumkanie żab. W powietrzu unosił się zapach mokrej ziemi po
wczesnych w tym roku roztopach. Oboje chłonęli tę wiosenną rześ-
kość, rozbudzającą w nich pragnienia, których nie wypowiedali, bojąc
się wspólnych marzeń i otaczającego świata, który mógłby im stanąć
na drodze. Dziewczyna zatrzymała się, Heinrich również przystanął.

Spojrzał na profil kobiety, widział blask księżycy w jej oczach. Jakże czuł się teraz szczęśliwy, objął ją, a ona, nie opierając, się schyliła głowę, trochę jakby zawstydzona.

Kilka dni wcześniej przyglądali się sobie na zaślubinach córki bogatego kuśnierza Fränkla z synem Samuela Cohna, kupca towarów galanteryjnych. Były tańce, zabawa, wtedy Heinrich zauroczył się tą smukłą dziewczyną o wesołych oczach. Wreszcie znalazł klejnot w tym Ostrowo, w którym tak długo nie było do kogo się odezwać. Oczywiście poza panem Wehlauem i jego rodziną.

Teraz chcieli wydłużyć tę chwilę w nieskończoność, ale wiedzieli, że nie mogą. Oboje byli oszołomieni tym darem ciepłego wieczoru miesiąca nissan. Gdy tak tulił ją w milczeniu, czuł, jak bije jej serce, choć może to jego serce tak biło. Usłyszał jej szept.

– Muszę już iść – będą mnie szukać.

– Będziesz jutro na mnie czekała?

– Nie wiem. Nie wiem, czy uda mi się wymknąć – szeptała, podnosząc swoją kształtną główkę, po czym pocałowała, właściwie musnęła ustami Henryka, a potem delikatnie wydostała się z jego objęć, odwróciła i pobiegła w stronę domu. Chciał ją zatrzymać, być z nią jeszcze przez moment, ale wiedział, że to niemożliwe. *Może będzie następne wesele w miasteczku* – pomyślał. Znowu będą tańce i będzie można przyglądać się jej zgrabnej sylwetce, tej całej harmonii, jaką wyrażała sobą w tańcu. Marzył o tym szczodrym uśmiechu przeznaczonym tylko dla niego.

Ruszył w stronę domu swojego pracodawcy. Wieczne miasteczko mizernie rozświetlały uliczne lampy olejne. Cienki sierp księżycy już dawno schylił się za drzewami cmentarza ewangelickiego. Gdzieś w oknach widać było tłące się światelka. Dobięł go dźwięk zegara ratuszowego, który wybijał godzinę dziesiątą. Szedł środkiem ulicy. Opustoszałe miasto kładło się do snu. W oddali majaczyła jakaś sylwetka. Może to stróż nocny?

Graetz miałą gospodę Gerstmann, w której zatrzymał się, gdy pierwszy raz przyjechał do Ostrowo. Przybywali tutaj podróżni, było gwarno, nawet późną wieczorową porą. Z wnętrza dochodziły głosy.

Może ktoś tam jeszcze dobijał interesu? – zastanawiał się Heinrich. Przez chwilę miał ochotę przejść się dalej, w stronę zajazdu pocztowego przy Wrocławskiej, w którym podobno można się napić dobrego wina. Jednak po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że to byłby zbytek. *Trzeba mieć na wyjazd do rodziców w Kościanie* – pomyślał, wkrótce miał zacząć się Pesach i chciał spędzić z nimi parę dni. Oczywiście miło byłoby być z Marianną..., ale co by na to powiedział jego chlebowdawca? – pobożny Wehlau, miejscowy uczonec, jedna z najważniejszych postaci w miejscowej gminie. Podobno jest poetą, pisze wiersze po hebrajsku. Czy pisze wiersze o Bogu, czy o miłości, czy o troskach naszego świata? Czasami korciło go, by o to zapytać. Zrezygnował jednak z tego, bo miał wrażenie, że jest między nimi jakaś niewypowiedziana bariera, jakby czuł, że coś wisi w powietrzu. Chyba nawet domyślał się, o co chodzi, ale bał się nazwać przyczynę nawet w myślach.

Do domu pana Wehlaua było już niedaleko, wszedł przez uchyloną bramę, z której prowadziły schody na piętro, gdzie obok nieco większej, w której spali synowie gospodarza, znajdowała się jego maleńka izba. Z kuchni dochodziły głosy małżonki gospodarza. Wydawała chyba jakieś dyspozycje dla Ester. Wehlau zapewne siedział przy świecach w swoim „kantorku”, być może modlił się albo czytał mądre księgi, a może właśnie pisał swoje wiersze.

Graetz wchodził po cichu, delikatnie kroczył po schodach. Miał nadzieję, że gospodarze nie zwrócą uwagi na jego późny powrót. Nie chciał też zbudzić Icka i Susze, śpiących już zapewne w pokoiku obok na poddaszu. Pomimo że stapał bardzo ostrożnie, gdy już dochodził do piętra, schody niemiłosiernie zaskrzypiały. Zdawało się, że słychać je w całym domu. Szedł już korytarzykiem na pierwszym piętrze, minął pokój chłopców i otworzył drzwi od swojej skromnej izdebki. Na szafce stojącej obok drzwi leżały zapalki, które znalazł po omacku, zapalił jedną z nich i przyłożył ogień do świecy wstawionej w świecznik stojący na niewielkim stoliku. Z mroku wyłoniło się lokum domowego nauczyciela synów pana Jacoba Wehlaua.

Zorientował się, że rozmowa w kuchni została przerwana. Na parterze zaskrzypiały drzwi, pewnie gospodarz wyszedł ze swojego kantorka. Szedł pewnym, dość ciężkim krokiem nie bardzo zważając na

zachowanie ciszy. Graetz zostawił uchylone drzwi, zdając sobie sprawę, że za chwilę będzie miał gościa. Dostrzegł już światło migające po ścianie korytarza, a po chwili cień wysokiego, bardzo szczupłego Wehlaua, stanął w drzwiach, trzymając w ręku kaganek, rozświetlający jego twarz. Wyglądał trochę upiornie, bo też jego mina nie wróżyła niczego dobrego. Wszedł do izby Graetza i zamknął za sobą drzwi.

– Panie Graetz, nie trzeba się wślizgiwać o nocnej porze jak złodziej. Tylko należy wracać do domu, jak przystało na przyzwoitego Żyda. Niech pan zaprzestanie tych nocnych eskapad. Już w całym miasteczku mówią o panu, że prowadzi się z dziewczyną. Na pana stanowisku nie wolno tego robić. Nie będę tolerował gubernera, którego wszyscy mają na językach.

Heinrich był zaskoczony takimi słowami, jego wzburzenie sprawiło, że wcale nie zamierzał być ani pokornym, ani tym bardziej skruszonym. Odpowiedział podniesionym głosem:

– Panie Wehlau, co pan sobie wyobraża? Jestem wolnym człowiekiem, lubię wieczorami spacerować. To bardzo ciekawe miasteczko, szczególnie wieczorem – drugie zdanie wypowiedział nieco kpiącym tonem, jakby w rzeczywistości chciał powiedzieć – *Nie ma w tej przekłętej dziurze nic ciekawego, ale będę sobie spacerował, bo tak mi się podoba.*

– Pora jest późna i nie chcę zbudzić chłopców, za których pan również jest odpowiedzialny, dopóki pan z nami mieszka. Proszę to sobie przemyśleć i zmienić swoje postępowanie – odparł Wehlau, i nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Graetz stał na środku pokoiku, próbując zapanować nad swoim wzburzeniem. Aż trząśł się ze złości. *Kto temu staruchowi – Wehlau miał 53 lata – mówił o mnie, o Mariannie? Czy w tym miasteczku ludzie nie mają nic lepszego do roboty, tylko zajmować się jego osobą? Co ich obchodzi czyjeś wieczorne spacery, gdziekolwiek by były i z kimkolwiek. To wyłącznie moja sprawa i Marianny. Co to za paskudna miejscina, do której mnie przywiódło. Wszyscy się interesują cudzym życiem zamiast własnym.*

Miał dość takiego upokorzenia. O swoich gospodarzach myślał w niewybrednych słowach, zastanawiał się, co on tutaj robi z tymi

kreaturami, kim oni są, żeby tak nim rozporządzali? Nagle, w myślach zaczął przeklinać cały swój żydowski los, te przyzwyczajenia, tradycję, konwenanse. Zdążył już wcześniej zauważyć, że ostrowiacy wcale nie są żarliwymi żydami. Z wyjątkiem Wehlaua, który w istocie był żydowskim patriotą. Bardzo interesował się wypadkami w Damaszku, miał w sobie narodową dumę. Teraz jednak Heinricha wcale to nie obchodziło. Tradycja, tradycja, tradycja. Często to słyszał w tym domu. *Dobrze, że nie zrobił mi całego wykładu w talmudycznej praktyce analizowania moich występków i „rozdrabniania włosa na czworo”* – ironizował. Heinrich był jeszcze bardzo młody, ale już wystarczająco dojrzały, aby spróbować spojrzeć inaczej na żydowski los, inaczej niż czynią to starzy Żydzi pokroju Wehlaua.

Teraz najchętniej wyszedłby demonstracyjnie z domu swojego chlebobdawcy, może do szynku, gdzie zachodzą Polacy albo do gospody Gerstmannna. Chciał wybiec z tego domu, wykrzyzczyć protest przeciw wścibstwu wszystkich tych, którzy jego i Mariannę mają na językach. Nie zrobił tego, jego emocje powoli opadały. Wkrótce położył się i nawet dość szybko zasnął.

Nazajutrz jak zwykle starał się wykonywać swoje obowiązki. Wieczерzę z rodziną Wehlau zjadł prawie w milczeniu. Chłopcy poszli do swojego pokoju, ich matka coś tam bąknęła, że on nie musi do nich zaglądać. Stary poszedł studiować swoje księgi albo pisać poezję. Graetz tego dnia nie wychodził z domu. Cały wieczór spędził w swoim pokoju. Próbował czytać, ale niewiele z tego wychodziło. Zrobił więc zapiski w swoim dzienniku, które przyniosły mu nieco ukojenia. Zastanowił się przez chwilę, czy pozostawić słowo kreatury w odniesieniu do gospodarzy domu, po namyśle pozostawił, w końcu taka była jego pierwsza myśl. I trochę się zemścił w ten sposób. Co jakiś czas podchodził do okna, wyglądając w nadziei, że może jakimś cudem zobaczy idącą ulicą Mariannę, że może ona stanie pod jego oknem? Później siadał na jedynym krześle i rozczulał się nad swoją biedą, brakiem odzieży, pieniędzy. Znów próbował pisać notatki. Myśli o Mariannie nie dawały mu spokoju. Następnego dnia nie wytrzymał. Gdy chłopcy jedli obiad, wymówił się czymś i wyszedł w stronę świńskiego targu, gdzie po dru-

giej stronie placu stał dom, w którym mieszkała Marianna. Chodził jakiś czas to w jedną stronę, to w drugą. Przychodziła mu do głowy szalona myśl, żeby zapukać i zapytać o dziewczynę, ale nie miał odwagi.

Wieczorem poszedł nad strugę, gdzie się spotykali, ale Marianny nie było. I tak przez kolejne trzy wieczory. Marianna nie przychodziła. Spotkali się kilka dni później na Rynku, Marianna robiła zakupy, on wracał po swoich belferskich zajęciach. Dziewczyna była milcząca, nie chciała rozmawiać. W końcu powiedziała tylko, że już nie będą się spotykać.

Tego dnia postanowił, że gdy tylko nadarzy się okazja, musi opuścić *ten głupio-pyszalkowaty Ostrów*, w którym jego egzystencja nie ma żadnej przyszłości i z satysfakcją zapisał to określenie w swoim *Dzienniku*.